

Grażyna Rozwadowska- Bar

w drodze

pociąg zatrzymał się w polu
nagła cisza ożywiła
skulone ciała pasażerów
zatrzeszczały siedzenia
stuknęły buty – gotowe do drogi
ktoś otworzył okno
zapachniało wilgocią obudzonych drzew
w porannej mgłę zamajaczyły
domy bez konturów

wyrzażała nagość samotnych drzew
porzuconych przez liście
poczerniały dachy pochylone ku ziemi

bezludna szarość
wypełniła oczy pasażerów

i nagły gwizd lokomotywy
zapowiedział pościg
za znikającym księżycem

oczy z ulgą wróciły do przedziału

do ciszy bez pytań

* * *

obudziłam wiersze
uśpione snem wielozimowym

drzemały na półkach
między książkami
wtulone w słowa

całe lata
szukałam swoich wierszy
po całym świecie mojego pokoju
rozchylałam firanki
otwierałam szafy i szuflady
nawet bramy cudzych domów

pod światło oglądałam
prawą rękę i lewą
nie było na nich
okruchów wiersza

pytałam kobietę
spotkaną na ulicy
miała twarz pełną zamyślenia
pachniała kwiatem pomarańczy

mówiła że nigdy nie widziała poezji
na co dzień zajmowała się prozą
szukała w niej prawdy
twardej ziemi z drogami i ścieżkami

wiersze
długo spały ukryte
między książkami
i długo ich szukałam
moje życie było niepełne
nie umiałam nazwać
radości ani smutku
nie rozumiałam łzy
ani kwiatów w wazonie

rozmowy prowadziłam
za pomocą ciszy
zapomniałam języka słów

przez ten czas
nic nie było
na swoim miejscu

jak dobrze że
obudziłam wiersze

tkaczka

pochylona mad krosnem
szare marzenia
przeplata kolorowym wątkiem
czołotka rozbawione wiewiórki
skaczą z dziupli do dziupli

zmęczenie zamknięte
w zniszczonych dłoniach
próbuję wyfrunąć
goniąc sen
po arenach sufitu

święta madonno
nocna bogini
o mądrych palcach
tkających wieczność
kobierzec nadziei

Spinalonga

z początku tylko brama
za nią słońce oślepiające
i droga do powolnego zapomnienia
świat pokryty bliznami trądu
ponad pół wieczna cisza

pod ciężarem promieni gorących
niepokojąco trzeszczą gałęzie
ich zachrypły krzyk
przykrywa błękit morza

ludzkie cienie przemykają
pod murami fortecy

podobno po śmierci
rośnie muzyka
włosy i zwątpienie
twardnieje lak na pamięci

człowiek chory oszpecony
z myślami okaleczonymi
nie pasuje do niczego

na wzgórzu wyspy
tablice nagrobne

zarośnięte poźółką trawą
strzegą tajemnic cmentarza
jak dawniej
ufne morze rysuje linię horyzontu
Bogowie z włosami do ramion
cicho obiecują niebiańskie życie
bez łez tęsknoty samotności

wracając drogami kreteńskimi
patrzyłam na arbuzy
popękane z mięszem
rozlanym na polnych dywanach
uszkodzone wybrakowane
naznaczone brzydota
samotne
nie pasujące
na kolorowe salony bazarów

słońce świeci
wypala myśli
milczy

Michał Kaczmarek

Ostatnie dni

trasa z ulicy Niedziałkowskiego
na ulicę Sienkiewicza
wydeptana butami astmatyka

z kawalerki do trzypokojowego mieszkania
ciągnęła żona
którą wyrzucił z domu pijaństwem

jedli wspólne obiady
gdy wracał
przecinał drogi nieznanym
błąkali się po ulicach
szukając schronienia
wśród nich był jego syn

strumyk
ruchliwa droga
kilka sklepów
dzień w dzień

omijał bezdomne psy
motyl przed twarzą
przez przypadek
w poszukiwaniu kwiatów

siedem razy w tygodniu
z wyjątkiem choroby
krok za krokiem
pożegnanie które spada z ust
jak farba ze ściany

przystanek na ławce
przy płaczącej wierzbie i suchej fontannie

znika za blokiem
w ręku list zakończony
słowami *No to cześć Kazik*

no to cześć